Rok I. Lwów, piątek 2. sierpnia 1907. Nr. 163.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

REDAKTOROWIE: ST. TOKARSKI i ST. BRANDOWSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE: miesięcznie . . . . . 50 h, „ z dostawą do domu 1 K, numer pojedynczy . . 2 h

NA PROWINCYI: mies. z przes. poczt. . 1 K, kwartalnie . . . . . . 3 K, numer pojedynczy . . 4 h

NR. TELEFONU REDAKCYI: 982. NR. TELEFONU ADMINISTRACYI: 977.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. Redakcya: Lwów, Podwale 7. Administr.: Lwów, Krzywa 6. Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 h.

Co dzień niesie?

Mimo niepewnej pogody poszedłem wczoraj na górę stracenia. Stanąłem na boku i śledziłem z zainteresowaniem, jak różne grupki patryotyczne, każda na swój sposób, czciły pamięć męczenników. Opodal mnie stało dwóch staruszków i prowadziło poczciwą bardzo, choć naiwną rozmowę.

— Tak mi się zdaje, jakby jedni drugim nie byli tu radzi — rzekł staruszek w batorówce, podczas gdy jego kolega miał słomiany kapelusz na głowie.

— I ja to widzę, i dziwno mi. Bo niby rozumiem, że dla dobra kraju można tak albo owak pracować, iść tędy albo owędy, ale przecie w uhonorowaniu pamięci takich dwóch ludzi, co miłość do Ojczyzny aż śmiercią okupili, powinna chyba być święta zgoda.

Teraz uważałem za stosowne wmięszać się do ich rozmowy.

— Panowie jesteście w błędzie — rzekłem poirytowany. — Jakżeżto, w rzeczy tak ważnej, jak przyszłość i odrodzenie Ojczyzny, wolno nam iść różnemi szlakami, pluć i kopać się nawzajem, bo każdy myśli, że on lepiej zbawi Polskę — a w rzeczy tak indyferentnej, jak obchodzenie tej rocznicy stracenia, niemiałoby się uwydatnić, że my mamy niejeden ale dziesięć sposobów zgnębienia wroga i odzyskania tego, cośmy stracili? Patrzcie panowie na lewo, jak ci, co się ugrupowali koło tego krzaka, starają się ciągle wyprzeć i zepchnąć tę gromadę ludzi, którymi zdaje się dowodzić ów jegomość w jasnych spodniach i z połamanym nosem. Ja ten antagonizm bardzo dobrze rozumiem. Nieboszczykom niemoże być obojętne, co wprzód zanucimy, „Z dymem pożarów“ czy „Boże coś Polskę“. A przecie są tu i socyaliści i ci swój „Czerwony sztandar“ zaśpiewają. Patrz pan... o!... szturkają się o te świece, jak mają stać. Jeśli się nie mylę, to ci tam są wszechpolacy, i chcą, aby świece były w krótki krzyż ustawione, podczas gdy ów wódz w czamarze ciągle je na długi krzyż poprawia. Słyszycie panowie? ci śpiewają co innego, i tamci też co innego... To się dopiero Kapuściński musi cieszyć, że mu tak i tak śpiewają. To też panowie jesteście w błędzie, żądając, aby tu wszystko szło na jedną nutę. To byłaby zabójcza dla nas jednolitość, to byłby grób nietylko Wiśniowskiego, ale i naszych aspiracyi narodowych. Bez antagonizmów, bez kłótni, bez zwalczania się ewidentnem by było, żeśmy zobojętnieli, że Ojczyzna nieleży nam na sercu, że już nie bijemy się o nią, choćby między sobą tylko, o tę drogą, kochaną naszą! A co? niemówiłem, śpiewają „Czerwony sztandar!“ Ale nic totamci ich przewrzeszczą, bo ich więcej. Co za koncert... aż zazdroszczę tym dwom nieboszczykom, że to na ich cześć. Nacierpieli się, ale teraz mają... Gdyby to tak jeszcze poszli szyby bić... Czy to nie była żabka teraz?... Nie, to coś innego tak trzasło... Oj, panowie! panowie! starzy jesteście i nierozumiecie już, jak się dla kraju pracować powinno. Minęły te archaiczne czasy, gdyśmy się nawoływali: hej, ramię do ramienia! Dziś trzeba się roździelić, trzeba za wszystkie tyły Ojczyznę kochaną dźwigać... tak! tak!

Staruszkowie patrzali na mnie przestraszonymi oczyma, a ja wsadziłem kape-

Schwytanie morderców z Danos.





lusz lepiej na bakier, splunąłem daleko dla fantazyi i nucąc „Patrz Kościuszko na nas z nieba“ pociągłem ku miastu.

U nas i na świecie.

Anglia, zawarłszy sojusze na wszystkie strony, doprowadziwszy szczęśliwie do skutku izolacyę Niemiec, tego najniepewniejszego puzonisty w koncercie mocarstw europejskich, pamięta mimo wszystkiego, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, i oto angielska Izba wyższa uchwaliła

budowę nowych okrętów wojennych,

pomimo, że flota angielska co do liczby i ogólnej pojemności okrętów równa się nieledwie zjednoczonym flotom wszystkich państw europejskich. A skoro Anglia buduje nowe okręty, to będą one z pewnością podziwienia godnymi olbrzymami, które niechby nie wojnie służyły, ale stały się rękojmią tego, że wojna niemoże wybuchnąć tam, gdzie takie pancerne olbrzymy udział w niej brać będą.

Francya inną osiągnęła zdobycz, która jej na wypadek wojny oddać może rozstrzygające usługi. Jest to okręt powietrzny do sterowania *Patrie*. O statku tym i o robionych z nim próbach pisaliśmy już obszernie.

Pisma francuskie nie omieszkały pochlubić się przed światem, rozważając, jak niezmiernie zyska potęga i znaczenie Francyi z chwilą, gdy ta rozporządzać będzie

flotyllą śrubowców powietrznych.

Nie omieszkano również zaznaczyć pomieszania i zawiści Niemców, którzy podobno za pośrednictwem pewnego Towarzystwa sportowego, próbowali nawiązać rokowania z Lebaudy'ym, ofiarowując mu milion marek za model nowego balonu. Lebaudy odmówił. Okazał się jednak względniejszym dla Anglików, którzy, ze swej strony, interesują się bardzo żywo tą sprawą i zamierzają utworzyć wielkie konsorcyum, w celu budowy i eksploatacyi balonu typu „Patrie“.

Tymczasem jednak tajemnica tego mechanizmu jest wyłączną własnością francuskiego sztabu generalnego. „Patrie“ służyć ma do celów wojskowych. Wyżyny atmosferyczne zostały zdobyte przez geniusz ludzki po to, by zasilić barbarzyńską sztukę niszczenia. Zdaje się, że do tego nie dojdzie. Toć nawet konferencye międzynarodowe, zwane „pokojowemi“ (przez dziwne nieporozumienie, ponieważ debatują wyłącznie o sposobach prowadzenia wojny), pomimo cały swój urzędowy i uświęcony biurokratyzm, dostrzegły tę niedorzeczność i powzięły w roku 1902 postanowienie,

zakazujące rzucania z balonów bomb,

oraz innych pocisków eksplodujących. — Zdaniem kół wojskowych uchwała ta jest „barbarzyńską“, bo wszakże celem działań wojennych jest tępienie ludzi *en gros*, a zadaniem sztuki wojennej — możliwe udoskonalenie tego procederu.

Mimo wszystkich zamachów zjazd cesarza Wilhelma z carem dziś albo jutro prawdopodobnie przyjdzie do skutku. Cesarz Wilhelm dziś przyjeżdża do Swinemünde, które jest miejscem spotkania obu monarchów, a z Petersburga telegrafują równocześnie, że car także się tam wybiera.

Carowi na niewiele chyba przydadzą się rady cesarza niemieckiego. Anarchia w Rosyi zdaje się powoli, ale ustawicznie wzmagać. Mianowicie są tam

mordy partyjne na porządku dziennym,

a jeden z nich, dokonany w Sosnowcu na Ciśle, aż mrozi swojem bezlitosnem okrucieństwem. Czytać codzienne rubrykę tych mordów, to wierzyć się niechce, aby waśnie partyjne tyle pochłaniały ofiar. Ale są one równocześnie przestrogą dla nas, w jakich znaleźlibyśmy się stosunkach, gdyby władza przeszła w rękę niepodzielną socyalistów. Wtedy każdy musiałby się stać czerwonym, bo opornych ostatecznie skąpanoby

w ich własnej krwi

i przecież pokazano, że wszyscy są czerwonymi. To są drogi i środki, jakimi socyaliści dążą do podboju świata.

Aby dać obraz stosunków w Rosyi, dość powiedzieć, że dzisiejsze ranne telegramy notują 17 mordów wybitnie partyjnych, a nadto mnóstwo mordów dokonanych dla rabunków, których także popełniono bardzo wiele i na znaczne sumy.

Cywilizacya europejska, którą z taką dumą i butą niesiemy między dzikich, doznaje niekiedy czarnej niewdzięczności ze strony czarnych pupilów naszych. Nie mowa tu o Prusakach, którzy cywilizują tylko za pomocą konopi, bądź to w bat, bądź też w stryczek skręconych, ale nawet Włosi i Francuzi, którzy jako narody więcej południowe nie cierpią na Tropenkoller, też widocznie nieumieją pozyskać sympatyi afrykańskich innoplemieńców, skoro — jak donoszą telegramy — wczoraj w południe dopuszczono się w Casablanca (w Maroku na wybrzeżu Atlantyckiem)

rzezi Europejczyków.

Tubylcy od pewnego czasu odgrażali się, że zamordują zajętych przy budowie portu cudzoziemców. Wczoraj napadli na nich i ośmiu zabili, a zwłoki spalili. Kilku Europejczykom pod wieczór udało się uciec. Konsul francuski pozostał na posterunku. Tubylcy splądrowali także sklepy. Według sprawozdania naocznych świadków, zabito 5 Francuzów, 2 Włochów, 1 Hiszpana. Trzy szczepy miały wtargnąć do Casablanca i ogłosić „świętą wojnę“.

101

MICHAŁ WOŁOWSKI.

ŚLADEM ZBRODNIARZY

ROMANS NA TLE STOSUNKÓW WARSZAWSKICH.

— Nie, nie, do dyabła, nie można być mniej ostrożnym odemnie. Ta kradzież ostatnia nie tylko jest podłą, ale i głupią zarazem. Ta mała naturalnie da natychmiast znać do policyi, przytrzymają mnie, znajdą przy mnie pieniądze i będę skompromitowany. No przecież do miliona set dyabłów na głupie dziesięć tysięcy rubli wyglądam jeszcze.

— Nie koniecznie potrzebujesz je mieć z kradzieży — szeptała mu w jedno ucho logika złodziejska.

— Widziała cię tam u niej służąca, poszlaki będą wyraźne — szeptał w drugie ucho prosty i zdrowy rozsądek — czas jeszcze, napraw wszystko.

— Głupstwo — schowaj, coś wziął, tak, żeby natychmiast znaleźć nie mogli, wyprzesz się wszystkiego — dowodziła taż sama logika.

— Choćby i tak było, to w każdym razie plama zostanie na całem twojem życiu.

— Głupstwo! — kontynuował głos drugi — skoro będziesz umiał tylko zatuszować ją pieniądzmi, ludzie plamy nie dopatrzą.

Wśród takiej walki wewnętrznej i spierania się dwóch potęg w umyśle tego człowieka, z których żadna nie była etycznym względem, a tylko sporem, dysputą niejako ze sprytem, Eberski nieruchomy, z oczyma utkwionemi w przestrzeni, parę godzin długich przesiedział w owym szynku.

Nie zwracał nawet na to uwagi, że wchodzili do niego ludzie rozmaitego gatunku i powierzchowności. Knajpa ta była w dzień — pożywieniem dla nędzy w nocy — przytuliskiem zbrodni. Na właściwem więc miejscu znalazł się w niej Eberski.

W końcu zwrócono mu resztę ze stu rubli i oświadczono wyraźnie, że wynosić się potrzeba, gdyż na mocy rozporządzenia policyjnego dłużej szynk otwartym być nie może.

Oświadczenie to usłyszał Eberski w chwili, gdy w głowie jego ostatni głos zabrał zdrowy rozsądek, a logika złodziejska na drugi plan zdawała się schodzić.

— Nie — szepnął do siebie — bądź co bądź to bzdurstwo naprawić trzeba.

W tem przekonaniu utwierdziło go jeszcze świeże, zdrowe powietrze łazienkowskiego parku, do którego się udał i dzięki któremu wywietrzała mu zupełnie spora ilość spirytusu, jaką wraz z owym ponczem wchłonął do swego wnętrza.

Samotność dokonała reszty, a kiedy ruch się już na ulicach rozpoczął, Eberski wsiadł w doróżkę, podążył do domu, umył się i ubrał elegancko i pojechał na Nowy Świat do tego samego domu i mieszkania, w którym z Tecią wieczór wczoraj spędził. Do drzwi jej mieszkania zapukał energicznie, a twarz swoją przystroił w wesoły uśmiech.

Względnie do czasu, w którym zazwyczaj Tecia powstawała ze swego łóżka, była to pora niesłychanie wczesna, pora, w której służące porozchodziły się do miasta, a ona w eleganckiem łóżeczku, odemknąwszy na poły oczy, myśleć zaczynała o tem, jak dzień przepędzić, jak zabić te długie, ciężkie godziny nudy zabawą i upojeniem. Dzwonek u drzwi właśnie poruszonym został przez Eberskiego w tej chwili, gdy Tecia takim słodkim oddała się marzeniom. Dziś właśnie rozpamiętywała dzieje kilku dni ubiegłych wypadków, które ją dotknęły, a w końcu pomyślała i o Eberskim, który tak się wczoraj ohydnie znalazł.

— Dzwoń sobie, dzwoń! — szepnęła, nie myśląc wcale otwierać dzwoniącemu natrętowi.

Ale i Eberski się uparł, bo gdy pierwsze targnięcie dzwonka nic nie pomogło i nikt mu drzwi nie otworzył, szarpnął silnie za jego rękojeść po raz drugi, trzeci, dziesiąty, co widocznie napełniło przekonaniem Tecię, iż natręt dopóty nie odejdzie, dopóki do wnętrza mieszkania wpuszczonym nie zostanie i skutkiem tego zerwała się szybko z łóżeczka, bose nogi wsunęła w pół pantofelki, stojące tuż opodal, następnie zarzuciła na siebie lekki poranny szlafroczek, i podreptała, zirytowana natręctwem, ku drzwiom przedpokoju, do którego właśnie dobijał się Eberski.

Z impetem najwyższym odsunęła następnie zasówkę i drzwi otworzyła. Odskoczyła jednak od nich szybko, gdy ujrzała Eberskiego.

— A! to pan? — wyszeptała z pewnem zdumieniem, zarumieniona negliżem, w jakim ujrzał ją przybyły.

Eberski obrzucił ją szybko oczyma, uśmiech wykrzywił mu usta i jak gdyby z tego pokoju wczoraj nie wyszedł złodziejem, ale największym przyjacielem Teci, spokojnie, z czelnością próg jej domu przekroczył.

(C. d. n.).

Czerwone szakale.

Ze Sosnowca donoszą o wstrząsającym wypadku samosądu.

Do drzwi wchodowych szpitala Huty Katarzyny zadzwoniło onegdaj późną nocą trzech nieznajomych ludzi. Służba niechciała im początkowo otworzyć, ale gdy nieznajomi oświadczyli, że niosą ze sobą chorego w niebezpiecznym stanie wpuszczono ich do wnętrza.

W tej chwili nieznajomi zagrozili służbie rewolwerami i zażądali, aby im natychmiast pokazano, gdzie leży niejaki Robert Cisło, który przed kilku dniami został postrzelony i przebywał w szpitalu. Dozorcy pod grozą śmierci wskazali im odnośną celę, dokąd też pobiegli zaraz nieznajomi nie nagabywani przez nikogo.

W celi tej leżało dwu chorych. Nieznajomi nie znając widocznie poszukiwanej przez siebie ofiary, skierowali lufy rewolwerów do łóżka, stojącego bliżej drzwi. Leżący na tym łóżku chory wskazał im oczyma i gestem, że sąsiad jego jest właśnie Robertem Cisłą.

Wówczas zbliżyli się nieznajomi do niego, a jeden z nich wbił mu sztylet w piersi, dwaj inni dali do niego kilka strzałów, poczem wszyscy, bez żadnej przeszkody, opuścili budynek szpitalny. Cisło wkrótce potem umarł.

Dodać przytem należy, że dzień przedtem zgłosił się do szpitala jakiś człowiek i ostrzegł Cisłę, aby natychmiast wyjeżdżał za granicę, gdyż jeszcze tej nocy zostanie zamordowany.

Panowie socyaliści tak się oburzają na karę śmierci, nazywając ją czemś potwornem, czemś do piekieł o zemstę wołającem — ale sami dokonują „egzekucyi“ (oni swe mordy stale nazywają egzekucyami) na chorych i bezbronnych ludziach!

Wizerunek rosyjskiego bohatera.

(Generał Stössel i jego żołnierze).

Ciekawe rewelacye o stosunku „bohatera“ z portu Artura, generała Stössla podaje *Rosija*.

Przez cały czas straszliwych szturmów i bombardowań portu przez Japończyków — gdy tysiące żołnierzy rosyjskich ginęło na obronnych okopach... Stössel objeżdżał zawsze leżące p o z a ogniem bojowym miejsca i „wlewał“ otuchę w zwątpiałe serca żołnierzy. Wszelkie zaś jego z nimi stosunki nacechowane były słodką, pełną wyrachowania kokieteryą. To też z czasem począł uchodzić w szeregach za pełnego wyrozumienia, dobrego i łaskawego generała, przemawiał do żołnierzy dobrotliwie, więc wkrótce poczęli go żołnierze lubieć, wyżsi zaś oficerowie znienawidzili. Stało się to tem bardziej łatwiej, że oficerowie rosyjscy zwykli postępować z swymi podwładnymi zawsze brutalnie i dopuszczali się przerozmaitych gwałtów i nadużyć.

„On jest dobry, on lubi nas, on nas ceni!“ — mawiali zrazu żołnierze.

Wkrótce jednak poznali się na jego brudnem wyrachowaniu.

Pewnego dnia, gdy huczały granaty... gdy w morderczym ogniu pękały śmiercionośne bomby i granaty, grały przeraźliwie eksplodujące szrapnele, gdy od kul japońskich i ognia działowego kładły się pokotem szeregi rosyjskie, zjawił się w forcie najbardziej ostrzeliwanym sam Stössel z oficerem sztabowym — umieścił się jednak tak, że nie groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo.

Właśnie przenoszono obok niego żołnierza zlanego krwią, czarnego od dymu i prochu, z wiszącą, rozerwaną od kuli armatniej nogą.

— „Ach biedny, daj mu kapitanie, order czwartej rangi!“ — rzekł Stössel.

Kapitan położył na mundur nieszczęsnego wstęgę św. Jerzego.

Nagle podniósł się umierający z strasznej rany żołnierz, i odrzucił w twarz Stösslowi z pogardą odznakę i zasypał go gradem obelg i zarzutów:

— Nie potrzebuję twego krzyża, obłudniku i kłamco! W sobie noszę mój krzyż, na który ty nigdy nie zasłużyłeś i nie zasłużysz!

To powiedział w straszliwych kurczach bolu i męki, skonał.

Scenę tę zaobserwowali i inni żołnierze; zrobiła też nadzwyczajne wrażenie. Zrozumieli, że Stössel, wcale ich nie oszczędza, że nic mu na nich nie zależy, że uważa ich za taran bojowy, i karmę dla bagnetów i dział.

Pokazało się nadto, że zawsze czytał im generał fałszywe a bezczelne telegramy i sztafety z głębi państwa, że informował ich umyślnie tendencyjnie o odsieczy Kuropatkina — i stało się, że ci sami żołnierze, którzy pierwej ślepo ufali swemu dowódcy, znienawidzili go najzupełniej, ogłosiwszy go kłamcą, obłudnikiem i tchórzem. Dziś wszakże prasa europejska mieni wciąż Stössla „bohaterem“ i to niezwykłym (!).

Jak zachować młodość?

Tym paniom i mężczyznom, co żyją w ciągłej trosce o utrzymanie swej piękności, młodości i świeżego wyglądu — udziela jeden z paryskich dzienników cały szereg bardzo cennych rad, które może każda pani przyjąć, stosownie do upodobania. Kto więc chce zatrzymać wygląd 20 letniego człowieka, niechże stosuje się do następujących wskazówek:

Nienawiść powoduje szybszy postęp starości, zazdrość wstrętne zmarszczki, gniew wyczerpuje siły, pobudzenie niespokojnego sumienia sprowadza ruinę rysów oblicza. Każda zmarszczka na twarzy mówi o każdem z uczuć, które ją wywołało. Mianowicie zmarszczka między brwiami wyraża wieczny niepokój, brózdy na czole malują walki wewnętrzne człowieka, pod oczyma rzeźbi znużenie i udręka swe ślady, zmarszczki pod brodą dają obraz jakiem jest położenie i ustosunkowanie człowieka w życiu, na nosie zaś i policzkach wyrażają gorycz, przygnębienie i zniechęcenie.

W jaki sposób tego uniknąć? Oto: spokojne opanowanie silną wolą nieszczęśliwych epizodów w nowym życiu, nie, jak by kto sądził stać się egoistą, nie, tylko opanowanie każdego swego nieszczęścia, choćby było największe. Każdego przygnębienia czy troski.

Mianowicie to, co starożytni Grecy i Rzymianie nazywali równowagą duszy, *aurea mediocritas* Horacego, to, co modernistyczne filozofowanie nazywa „świstaniem na cały świat“, owo: „wszystko zdarza się!“ Alfreda Capusa, to fatalne zdanie muzułmanina: „Tak było zapisane w gwiazdach“ i pobożne słowa chrześcianina: „Bądź wola Twoja!“ — zgodzenie się z wolą Bożą — oto są środki najpewniejsze, strony moralnej, by młodość swą utrzymać. Z drugiej zaś strony, dla utrzymania młodości, we względzie fizycznym — to wszyscy, całego świata lekarze konstatują jednogłośnie, że hygiena ciała stanowi podwalinę zachowania młodego wyglądu. Oto przed kilku laty zmarły poeta Légouvé, liczący 90 lat, jedynie zlewaniami ciągłemi wodą ciała, ćwiczeniami fizycznymi i pewną, stałą dyetetyką, pozostał szczupłym, smukłym i młodym.

Hygiena nie polega na tem — na to trzeba baczyć — wstrzymać się od wszystkiego; lecz n i e p r z e k r a c z a ć g r a n i c n a s z y c h s i ł! Ważną tego podstawą jest sen. Każdy powinien spać pewną ilość godzin w nocy, potrzebną mu do wytchnienia. Sławny Moltke sypiał 9 godzin na dobę i temu, według własnych słów zawdzięcza świeżość.

Następnie zimna woda jest teżcennym przyczynkiem w utrzymaniu młodości. Japonki przeciwnie, które długi czas pozostają młodemi, biorą dziennie gorące kąpiele, inni lekarze polecają wpółchłodne zlewania, a nawet całkiem zimne. (Kneipp).

Sławna kurtyzana króla francuskiego Henryka II. Dyana de Poitiers przypisywała swą nadzwyczajną świeżość, siłę ciała i długą młodość, codziennemu chodzeniu boso po rosistych trawnikach. Podobnie postępywały damy dworu hiszpańskiego Karola II. i Filipa V.

Cóż jednak powiedzieć o dzisiejszych preparatach, powodujących czy utrzymujących piękność ciała?

Jedne z nich są albo wprost szkodliwe, inne bezużyteczne i bezkorzystne, inne wreszcie wprost potępienia godne. Wyjątek stanowią masowania, które powodują krążenie krwi. Ważną jednak podstawą do utrzymania piękności jest strój — ale strój o ile możności obcisły np. w rodzaju munduru oficerskiego lub fraka. To zmusza osobnika do prostej, wyprężonej postawy, powoduje smukłość i pewną elegancyę. Przeciwnie ma się rzecz z gorsetami. Bo te nie są wcale polecane przez lekarzy, owszem bojkotowane, nie dają wcale prostej postawy ciała a paczą i zeszpecają ciało — jestto więc „hygiena“ zwalczania godna, hygiena ponadto rujnująca, kosztowna i szkodliwa.

Schwytanie morderców z Danos.

(Do ryciny na stronie I.)

Telegramy z Pesztu donoszą, że wśród mnóstwa cyganów, jakich tam ostatnimi czasy aresztowano, znajdują się trzej uczestnicy strasznej zbrodni popełnionej w Danos. W morderstwie jednak i rabunku brało bezpośredni udział siedmiu cyganów i dwie cyganki, zatem jeszcze sześciu uczestników zbrodni buja na wolności. Główny morderca Tutta Kolompar ma dopiero lat siedmnaście i jest herkulesowej budowy ciała. Aresztowano go wraz z całą bandą na puszcie koło Nyiregyhaza. U jednej z znajdującej się w tej bandzie cyganek znaleziono złoty kolczyk, będący własnością zamordowanej córki oberżysty Szarvasa z Danos. W bandzie tej znajdowało się także trzynastoletnie dziewczę cygańskie Ludwika Balog i ona to opowiedziała żandarmom po długiem wahaniu się szczegóły tej okropnej zbrodni. Sama zaś dowiedziała się o nich w lesie koło Keczkemetu, gdzie obozowała

banda, której część wymordowała i ograbiła rodzinę Szarvasa. Powróciwszy do lasu z wyprawy zbójeckiej mordercy podzielili się łupem. W wyprawie brało udział wedle opowiadania dziewczęcia dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety. O godzinie 9-tej wieczorem przybyli oni do karczmy (tz. csardy) Stefana Szarvasa, który właśnie chciał już udawać się na spoczynek i dlatego nie był rad z tych późnych gości. Mimo to zdecydował się podać cyganom żądane napoje i jadło, ale pod warunkiem, że z góry będą płacić za wszystko. Pito może z pół godziny, gdy w tem cygan Tutta Kolompar porwał za fuzyę, wiszącą na kołku w izbie szynkownej, wystrzelił i wpakował w plecy cały nabój Szarvasowi. Na odgłos strzału wpadł do izby parobek Tabanyi i jego wszakże naprzód postrzelono a następnie dobito siekierą. Zamordowawszy obu mężczyzn wtargnęli cyganie do alkowy i nożami pomordowali żonę i córkę Szarvasa. Córka na kolanach ze złożonemi rękami błagała, aby darowano jej życie, ale napróżno. Wymordowawszy wszystkich mieszkańców oberży, rozbili cyganie wszystkie kufry i szuflady, zabrali co im się pod rękę nawinęło, poczem podpalili dom a sami wsiedli na swe konie, przywiązane do drzew i popędzili do Keczkemeckiego lasu, gdzie obozowała reszta bandy. Dziewczyna zapewnia, że widziała, jak mordercy poukładali na ziemi zrabowane pieniądze i dzielili je między siebie. Było tam sporo banknotów pięćdziesięciokoronowych i mniejszych, tudzież woreczek zawierający przeszło trzydzieści srebrnych pięciokoronówek. Ów siedmnastoletni cygan Kolompar opowiadał, jak on to porwał strzelbę z kołka i zastrzelił oberżystę i parobka, a wtedy inni cyganie ponieśli go na ramionach, obnosili po lesie i wołali: „Hurra! Kolompar niech będzie naszym dowódcą!" Rozdzieliwszy łup, podzieliła się banda na kilka części, z których każda podążyła w innym kierunku.

Fatalny telegram.

(Z lwowskiej Cronique scandaleuse.)

Jeden z tutejszych matadorów świata kupieckiego przechodzi obecnie gorzkie dni. Popełnił mały grzech, a ponosi za niego wielką pokutę, która — być bardzo może — skończy się jego rozwodem z żoną.

Pan F. posiada wielki handel na jednej z pryncypalnych ulic. Niedawno musiał wyjechać do Wiednia dla poczynienia tam różnych zakupów dla swego przedsiębiorstwa. Żegnany czułemi słowami żony, służby, a nawet klientów, wsiadł na pociąg i odjechał, obiecując pisać i wysyłać widokówki, na znak, że żyje i zdrów jest....

Mija dzień jeden i drugi, trzeci i czwarty, a pan domu, jak pojechał, tak i przepadł bez wieści. Żona próżno codzień listonosza wygląda, znajomych rozpytuje, czy wieści od męża nie mieli. Głucho o nim wszędzie, i ni znaku ni śladu po nim.

A gdy upłynął dzień piąty i szósty, wtedy wystraszona wysyła do zarządu hotelu *zur goldene Birne* w Wiedniu, gdzie mąż jej zwykle staje, telegram z zapłaconą odpowiedzią i z zapytaniem, czy jej mąż tam bawi.

Niedługo czekała na odpowiedź. Jeszcze nim słonko zaszło otrzymała upragnioną odpowiedź tej treści:

Herr F. sammt Frau hier. Hotelleitung Goldene Birne.

Teraz pojęła pani F., czemu mąż nie pisze — i najbliższym pociągiem pojechała do Wiednia.

Wpaść do hotelu i zapytać o pana F. i jego „żonę", było działaniem jednej chwili.

— Ja wohl, gnädige Frau, die Herrschaften wohnen noch hier!

Pani F. siada w loży portyera i każe wołać tę drugą panią F.

Po chwili schodzi dama, tak stara i obrzydliwie gruba, że podniesiona już do góry rączka lwowskiej pani F. ze zdziwieniem i z konsternacyą opada znów na dół. Że jednak wszystko na świecie jest możliwe, więc pani F. biegnie jeszcze na górę do swego męża, i z jeszcze większem zdumieniem spostrzega tam starego jak grzyb dziada, wycierającego sobie kark ręcznikiem.

— To są państwo F.? — pyta na dole portyera.

— Tak — zapewnia ją tenże z poczciwym uśmiechem na twarzy.

Pani F. ma niemieckie, bardzo pospolite nazwisko, i musiała uwierzyć, że los formalnie spastwił się nad nią, każąc jakimś jej imiennikom, ku jej przerażeniu i desperacyi, zamieszkać akurat w tym samym czasie i w tym samym hotelu.

Równocześnie otrzymuje ze Lwowa od pokojówki telegram — że „pan właśnie wrócił".

Więc najbliższym pociągiem wraca do Lwowa i pani F. Zamiast robić mężowi sceny i awantury, zmuszona jest sama prosić o wybaczenie, upokorzyć się, nieledwie po kolanach męża całować.

Pan F. wytłumaczył zaś zazdrosnej małżonce, że z Wiednia musiał jechać do Berlina, ztamtąd do Hamburga, i ciągle w drodze, ciągle w wagonie, niemiał czasu ani na wysłanie widokówki.

I wszystko byłoby dobrze, — gdy pod nieobecność męża przyniósł listonosz do kantoru list, którego koperta nosiła złowieszczą firmę: *Hotel zur goldenen Birne — Wien.*

Targana złem przeczuciem, targa pani F. kopertę i znajduje w niej list, który jej krew mrozi i do szału doprowadza.

Euer Gnaden! — pisze nadawca listu. Żonę pańską przyjęliśmy zupełnie według życzenia WPana. Nasz maszynista od liftu i nasza kucharka zaraz po wyjeździe pańskim ulokowali się w tym samym pokoju i mieszkali tam przez całą dobę, gdy na drugi dzień zjawiła się żona pańska, a ogłądnąwszy najpierw kucharkę, a potem maszynistę i pokój, odjechała zupełnie zadowolona.

Posyłamy dodatkowy rachunek, a mianowicie:

1 pokój na dwie osoby . . 7 kor. — h
maszynista za fatygę . . . 10 „ — h
kucharka „ „ . . . 10 „ — h

razem 27 koron, o których wyrównanie uprzejmie prosimy i dalszym względom WPana się polecamy, zapewniając najuroczyściej, że na przyszłość pod nieobecność Pańską w hotelu na żadne telegramy osoby WPana dotyczące na własną rękę odpowiadać nie będziemy.

Pani F., ta lwowska, dorozumiała się teraz wszystkiego, i z listem hotelowym poszła do adwokata, który od 3 dni używa forenzyjskiej swady, aby jej wybić z głowy myśli rozwodowe.

KRONIKA.

Kalendarzyk:

We czwartek rzym.-kat. Piotra w Ok. — gr.-kat. Makryny.

W piątek rzym.-kat. NMP. Anielskiej — gr.-kat. Iłyi Pror.

Colosseum Hermanów:

(Pasaż Hermanów, ulica Słoneczna) codziennie o godzinie 8-mej wieczorem przedstawienie; w niedzielę i święta dwa przedstawienia (serya od 1-go do 15-go b. m.). Nowy świetny program.

Ogród Colosseum Hermanów. Od czwartku 1-go sierpnia b. r. zupełnie nowy senzacyjny program, Kongres najznakomitszych artystów świata.

W razie niepogody odbędą się przedstawienia w sali.

Do Czytelników.

Celem ułatwienia naszym Czytelnikom zamawiania pisma zaprowadziliśmy „Kartkę zamówień". Mieści się ona na 7 stronie na dole. Każdy chcący zamówić sobie nasze pismo, niech wytnie tę „Kartkę" wypełni dokładnie, i nalepiwszy na zwykłą korespondentkę, prześle do Administracyi.

MIEJSCOWA.

Nowomianowany dyrektor Kasy oszczędności, dr. Edward Stroynowski, urodził się we Lwowie; studya uniwersyteckie ukończył w Wiedniu i tam też uzyskał dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Wróciwszy do Lwowa, już po krótkim czasie zasłynął jako lekarz-akuszer i od szeregu lat jest znanym w całym kraju lekarzem. Brał gorący udział w życiu publicznem miasta naszego, które go powołało jeszcze przed laty kilkunastu w skład Rady miejskiej, której był długoletnim członkiem i przewodniczącym sekcyi V. (sanitarnej).

Jego też głównie inicyatywie i gorliwym zabiegom Lwów zawdzięcza powołanie do życia stacyi ratunkowej i Towarzystwa ratunkowego, które założono przy pomocy twórcy Towarzystwa ratunkowego w Wiedniu, śp. dra br. Mundy'ego. Dr. Stroynowski jest przewodniczącym Towarzystwa ratunkowego od jego zawiązania się.

Oddając się od 15 lat interesom przemysłowym i finansowym, w roku 1899 został wybrany do wydziału Kasy oszczędności i mianowany zastępcą dyrektora. Od dwóch lat kieruje faktycznie agendami Kasy, stojąc na straży jej interesów przy równoczesnem uwzględnieniu potrzeb i wymagań licznych jej interesów. To też obywatelstwo lwowskie z niekłamanem zadowoleniem przyjęło wiadomość o powołaniu go na dyrektora.

Smutny obchód smutnej rocznicy. O zmroku zebrała się liczna publiczność, przeważnie młodzież rękodzielnicza, szkolna i robotnicy, na wzgórzu stracenia, gdzie u stóp pomnika złożono wieńce, jakie zawiozła tu młodzież po porannem nabożeństwie, oraz duży wieniec z polnych kwia-

tów od stow. rękodzielników „Gwiazda“. U stóp starego pamiątkowego krzyża znalazł się bukiet z czerwonych róż i goździków, jaki corocznie składa w rocznicę stracenia pewna zacna Polka.

Gdy pomnik zajaśniał światłem, nastąpiły przemówienia, poczem odśpiewano pieśni patryotyczne.

Pod krzyżem zgromadzili się socyaliści i przemawiało tu trzech mowców i śpiewano „Czerwony sztandar“.

Po skończonym obchodzie udano się w dwu grupach do miasta.

Między grupami temi przyszło do starcia w mieście pod kolumną Mickiewicza. Gdy młodzież zaintonowała chorał, w tejże chwili odezwały się ze strony socyalistów okrzyki i słowa obelżywe i jako kontrdemonstracya zabrzmiał „Czerwony sztandar“. Młodzież narodowa zaczęła śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła“. — Znów okrzyki ze strony socyalistów, gwizdy, wreszcie „Czerwony sztandar“. Trwało to dłuższy czas, aż wreszcie policya plac opróżniła.

Sprawa mundurków szkolnych, obszernie omówiona w wyd. świeżo broszurze prof. Niemca, traktowaną była również podczas Zjazdu lekarzy na sekcyi wychowania fizycznego. Po referacie dr. Niemca gorliwego propagatora sprawy zniesienia mundurków uchwalono rezolucyę: „Zjazd uznaje zupełną niehygeniczność mundurków, poleca utworzenie komisyi, w skład której winni wejść pedagogowie i lekarze, celem zajęcia się reformą odzieży tak uczniów jak uczenic w kierunku hygienicznym i estycznym — poleca dalej, by dla uświadomnienia hygienicznego rok rocznie wręczano uczniom i uczenicom zestawienie zasad hygieny domowej i szkolnej.

Trust batiarów. Ulicznicy, którzy z powodu jakichś tam swoich trudnych do zbadania interesów stale kręcili się podczas wystawy na pl. Powystawowym, wpadli w ostatnich dniach istnienia hygienicznej wystawy na porządny, godny opublikowania pomysł. Oto stworzyli przedsiębiorstwo konkurencyjne dla komitetu wystawowego. Poszczególne ich grupki związane najrozmaitszymi węzłami, a przedewszystkiem nieprzyjaźnią i podejrzliwością wobec innych grup, powyłamywały deski w parkanie, obstawiły je należycie silnymi wartami i puszczały tamtędy publiczność na plac powystawowy za opłatą 4 gr. Przedsiębiorstwo prosperowało świetnie, dywidendy rosły, akcye szły w górę i byłaby się młódź uliczna podniosła znacznie pod względem ekonomicznym, gdyby nie pewien przypadek. Jedna z grup mianonowicie poczęła ze względów konkurencyjnych puszczać publikę za opłatą tylko 2 gr. Wywołało to oburzenie u innych przedsiębiorstw. Gromadnie napadli na tych, którzy obniżyli cenę i obili ich niemiłosiernie. Uzdrowi to zapewne stosunki w tych przedsiębiorstwach i podczas najbliższego festynu nikt nie odważy się na zerwanie solidarności. Rokowania o dojście do skutku takiego trustu już są w toku.

Bezczelność non plus ultra. — Michał Maćków skradł na pl. Bogdanówki Leiserowi Bassowi dwie osełki masła. W pościg za nim puścił się Bass. Maćków ukrył się w miejscu ustępowem w realności pod l. 1. Kiedy Bass wszedł go schwytać, Maćków wepchnął go do wnętrza tego wychodku, zamknął drzwi na zasówkę i żądał jednej korony, jako zapłaty za wypuszczenie. Targ trwał prawie całą godzinę i to właśnie zgubiło Maćkowa. Ktoś podglądnął całe przedsiębiorstwo i oddał Maćkowa w ręce policyi.

Zmiana na placu św. Ducha. Jak donoszą, niebawem ma być wiceprezydent Dyrekcyi skarbu pan Prokopowicz przeniesiony do Wiednia na stanowisko szefa sekcyi w miejsce pana Jorkascha-Kocha, który przechodzi na emeryturę.

W miejsce pana Prokopowicza, wiceprezydentem ma być zamianowany pan Klusik-Orzechowski, szef biura prezydyalnego.

Agitatorka w kiecce. Pani Marya Graboweńska, której widocznie nie dają spać laury finlandzkich poślic, ogłasza na naczelnem miejscu kroniki w *Dile* odezwę do „ukraińsko-ruskoho žinoctwa“, w której wzywa kobiety ruskie do walki o prawo wyborcze.

„Teraz — pisze p. Graboweńska — kiedy udział w życiu politycznem przyznano wszystkim bez różnicy stanu i majątku, kiedy głosuje najciemniejszy chłop analfabeta, odpadają zarzuty niezdolności kobiety. A postawienie jej obok małoletnich, idyotów i złoczyńców, którzy od prawa głosowania są wyłączeni, jest ciężką zniewagą i aktem wielkiej niesprawiedliwości, który w każdej kobiecej piersi porusza poczucie znieważonej ludzkiej godności. Więc, hej, komu wstyd stać wobec prawa w jednym rzędzie z małoletnimi, idyotami i złoczyńcami — odezwijcie się!“

Nasz reporter pisze:

Stanisław Czerwiński jest dobrym katolikiem, bo odpłaca się równą miarą za wyświadczone mu grzeczności i nic niezostaje dłużnym. Tak i wczoraj było. Udał się do golarni p. Weishaara, przy pl. Bernardyńskim, i tu kazał się brzytwą ogolić, a odchodząc na rewanż wygolił znów panu Weishaarowi aż 5 brzytew od razu.

Gdybym Szanownej Redakcyi zaręczał, że jest to jedyne uwagi godne zdarzenie, jakie znalazłem w policyjnych księgach mądrości, to z pewnością otrzymałbym dymisyę bez orderu, a może nawet i bez pisma odręcznego redaktora, wyrażającego mi uznanie za moją długoletnią a tak wydatną pracę kronikarską.

Niema wiadomości lub senzacyi ani na lekarstwo. Jak ja zadroszczę waszemu współpracownikowi od polityki zagranicznej! Niewie co pisać, to pisze krótko, że linia telefoniczna między Lwowem a Wiedniem zerwana. Co to za wygodna wymówka. Ja niemam czem się wyłgać. Mogę najwyżej powiedzieć, żem sobie nogi zerwał. Ale po moich nogach nikt nie telegrafuje. Czasem przy obiedzie Mańka trąca mnie nogą w kolano i wtedy czuję jakby elektrykę w sobie.

Czy zerwanie nóg usprawiedliwia brak kronikarskich wiadomości? Nie. Naprzykład stacya ratunkowa była dziś wogóle bez protokołu, choć to wczoraj był obrządek patryotyczny na górze stracenia i pod pomnikiem Mickiewicza, który jeszcze nie jest ogrodzony, choć miało to się stać jeszcze do jesieni zeszłego roku. Co też sobie Mickiewicz o nas myśli, gdy czereda pauprów wyje mu pod nogami, jedni śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła“, a inni nucą „Czerwony sztandar“, a policya krzyczy i pędzi wszystkich na wszystkie wiatry. My to nazywamy manifestacyą patryotyczną, ale czy biedny autor „Pana Tadeusza“ domyśla się choć, że to nie żadna borba, tylko wylew uczuć narodowych?

Z KRAJU.

Sprawa teatru ludowego w Krakowie. Obecny właściciel koncesyi na teatr ludowy, p. Frączkowski, zrzekł się jej, ponieważ namiestnictwo nie zgodziło się na jej przedłużenie na cały rok. Wobec tego w jesieni w ujeżdżalni przedstawień już nie będzie. Prezydyum miasta na wniosek p. Rygiera, byłego dyrektora teatru w Poznaniu, nosi się z zamiarem wystawienia specyalnego budynku na teatr ludowy. Architekt miejski, p. Zawiejski, otrzymał polecenie wypracowania kosztorysu na budynek, który miałby stanąć na placu u zbiegu ulic Dietlowskiej i Starowiślnej. Koszta obliczono na 300.000 koron, pokryć się mające pożyczką. Ponieważ p. Rygier ofiaruje 6.000 koron rocznego czynszu, a kraj da zapewne subwencyę, więc zebrałaby się potrzebna kwota na oprocentowanie i amortyzacyę pożyczki. Przy budowie teatru mają być uwzględnione najtańsze miejsca, których będzie najwięcej. Najniższy wstęp ma wynosić 20 halerzy.

Pies contra hycel. Niezwykły wypadek przyjaźni zwierząt obserwowali we wtorek 20. b. m. przechodnie koło dworca kolejowego w Przemyślu. Oto służąca tut. naczelnika stacyi kolejowej około 10 godziny zrana prowadziła ze sobą dwa psy, z których mniejszy był bez kagańca. Wtem zjawił się nagle rakarz i chwycił małego pieska. Drugi towarzysz czworonogi, zamiast — jak się to zwykle dzieje w takich wypadkach — uciekać, rzucił się z tyłu na rakarza ze straszną wściekłością, obalił go na ziemię, chcąc uwolnić swego małego przyjaciela.

Na szczęście rakarza napastnik miał na sobie kaganiec, natomiast pojmany piesek bez kagańca gryzł biednego rakarza w twarz i ręce. Z tej psiej opresyi wyrwał biednego rakarza dopiero drugi pomocnik, który psinę schował do budy i odgonił napastnika.

Ubezpieczenie od bandytyzmu. Jedno z warszawskich towarzystw asekuracyjnych, które zajmuje się ubezpieczeniem szyb wystawowych od kradzieży i od nieszczęśliwych wypadków, przystąpiło do zorganizowania działu ubezpieczeń od bandytyzmu. Towarzystwo zobowiąże się zwracać całkowitą sumę, jaką zabiorą bandyci. Z początku podejmie się ono ubezpieczenia tylko wielkich, solidnych firm, unikając firm drobnych i niepewnych, które mogłyby się dopuszczać nadużyć i urządzać sztuczne napady.

ZE ŚWIATA.

Spadkobierca Walter-Skotta. Znakomity pisarz nie należał do świetnych uczniów i najczęściej siadywał na „oślej ławce“. Kiedy już był sławnym, odwiedził dawną widownię swych cierpień. Nauczyciel, chcąc przedstawić korzystnie szkołę, zadawał pytania najlepszym uczniom. Walter-Skott zagadnął po chwili:

— A który tu jest ostatni uczeń? Pokażcie mi go, proszę.

Nauczyciel wywołał biednego malca, który z żałośną miną stanął przed obliczem dostojnego gościa.

— Ty jesteś ostatnim uczniem? — zapytał Walter-Skott.

— Tak, ja — wyjąkał chłopiec.

— Masz tu dziesięć szylingów kolego, za to, że objąłeś po mnie miejsce! — powiedział wesoło znakomity pisarz.

Edukacya psa policyjnego. Najlepsze psy policyjne posiada obecnie Gandawa,

i ona najwięcej się nimi posługuje. Wogóle system straży policyjnej w Gandawie jest inny, niż wszędzie. Tam nie ma prostej kolejności w rozstawianiu stójkowych po mieście: tam każdy policyant ma zawsze jeden i ten sam stały rejon miasta, który zna doskonale i zawsze ma oddanego do pomocy jednego i tego samego psa, który w najciaśniejszych zakątkach swego rejonu umie jeszcze lepiej czytać swoim nosem.

Taki pies policyjny żyje w najściślejszej klauzurze, już od wieku trzech miesięcy, w psiarniach rządowych, opatrzonych zresztą we wszystkie potrzeby psiego komfortu: z łazienkami i czesalniami, z łóżkami hygienicznemi, zwłaszcza kuchnią, apteką, lekarzem, a nawet... lokajem. Poza tem pies policyjny wychowuje się w rygorze bardziej niż wojskowym, streszczającym się w bezwzględnem posłuszeństwie na każdy ruch lub głos swego pana — t. j. policyanta o tym samym numerze — a przedewszystkiem w zupełnem odcięciu od świata zewnętrznego. Dla psa policyjnego nieznane są pieszczoty i łakocie z obcej ręki, a pod surowemi karami zabroniony mu jest wszelki flirt poza murami psiarni. „Człowiekiem“ dla niego jest tylko jego policyant, wszyscy inni, to jedynie „podejrzane indywidua“, które bez wyboru trzeba atakować, jeżeli policyant rozkaże. Pies taki przechodzi „egzecyrkę“ jak rekrut, a jego wykształcenie uzupełnia dwugodzinne codzień węszenie i chodzenie po przyszłym swym rejonie. Po pół roku następuje egzamin i pies, gotów do służby, otrzymuje obrożę z herbem Gandawy i z numerem policyanta, któremu go się oddaje. Od czasu zaprowadzenia psiej policyi, mieszkańcy Gandawy podobno śpią spokojnie, a rozboje i rabunki zupełnie ustały.

Z drugiej strony nie trzeba przeceniać znaczenia psów policyjnych. Ostatecznie ćwiczenia ich ograniczają się do kilku typowych sytuacyi: 1. przeskakiwanie murów aż do 2 m. 30 cm. wysokości, 2. wciskanie się do domku, gdzie słychać hałas podobny do włamywania się, 3. atakowanie i zaniechanie ataku na rozkaz policyanta, 4. ściganie człowieka na rowerze i 5. strzeżenie człowieka leżącego, którego pies atakuje natychmiast, ilekroć wstać próbuje, a daje mu spokój, kiedy leży, trzymając go w tej pozycyi aż do przybycia policyanta.

Najciekawsze lapsusy. Pojawił się obecnie na półkach księgarskich książka ogromnie interesująca: zbiór lapsusów językowych, znakomite „kawały“ które się „wypsnęły“ nieraz najznakomitszym ludziom.

I tak np. Bryce mówiąc w Izbie niższej o rządzie irlandzkim, oświadczył, że

„Jest on podobny do niezręcznego myśliwca, który się daje złowić na własny haczyk od wędki!“

W. Field w zapale dyskusyi na temat prawa o transporcie bydła zawołał:

„Proszę was, panowie, zastanówcie się nad tem nie tylko z punktu widzenia zwierzęcego!“

Balfourowi wyrwało się zdanie:

„Blade twarze żołnierzy angielskich są grzbietami naszej armii indyjskiej“.

W izbie lordów pewien stary parlamentaryusz, wygłaszając wspomnienie pośmiertne użył następującego wyrażenia:

„Ileż głów tu brakuje, ileż głów, którym zwykłem serdecznie ściskać rękę!“

Podczas rady hrabstwa londyńskiego jeden z radnych mówił o „trójbarwnym, czarnym i żółtym sztandarze austryackim“; inny zaś mówił:

„To jest podwalina, do której jest przywieszona cała kwestya“.

Jeszcze inny mowca wspominając w przemówieniu kolegę, który umarł wskutek wypadku na polowaniu, oświadczył:

„Pierwszy to raz zdarzyło mu się takie nieszczęście!“

Morderstwo w pociągu. Donoszą z Biarritz, słynnego miejsca kąpielowego w południowej Francyi o dokonaniu morderstwa i to w formie bardzo śmiałej. W nocy na 11. z. m. w pociągu ekspressowym, dążącym z Tuluzy do Bayonne o godzinie kwadrans na 3-cią nad ranem, tuż przed stacyą Saint Gaudenus, pasażerowie wagonu III. klasy, którego przedziały komunikowały się z sobą, przebudzeni zostali dwoma przeraźliwemi okrzykami. Razem w wagonie było w tej chwili 7 osób. Wszyscy zerwali się na równe nogi, a jeden z obecnych, widząc cień jakiś chwiejący się i padający z nóg, podbiegł i podtrzymał go, sądząc poprostu, że ktoś zachorował. W tej chwili zauważył za sobą drugą postać z ręką podniesioną jak do uderzenia; potężnem więc uderzeniem odtrącił napastnika, który znikł w jednej chwili, najoczywiściej wyskakując przez drzwi wagonu, które musiał zostawić otwarte. Podróżni dali sygnał i wstrzymali pociąg, rozjaśnili lampy, i w tej chwili przekonali się, że rzekomy chory miał piersi przebite nożem, czy sztyletem. — Ofiara zamachu już chrapała, a krew z piersi buchała tak obficie, że zalała cały przedział, a kiedy pociąg przybył do Saint Gaudens, raniony już skonał, tak, że na owej stacyi pozostawiono już tylko zwłoki. Zamordowany, jak później stwierdzono, nazywał się Józef Nadael, liczył lat 28, pochodził z Tahul w Hiszpanii i miał bilet do Isun. Przyczyna morderstwa niewiadoma. — Mordercę widziano w Tuluzie, jak wsiadał do wagonu, jest więc nadzieja schwytania go, mimo bardzo ryzykownej ucieczki w chwili, gdy pociąg pędził z szybkością 65 kilometrów na godzinę. Zawiadomiono natychmiast telefonicznie żandarmeryę o wypadku.

Sędziwy złodziej. Przed kilku dniami przyaresztował agent policyjny we Wiedniu niejakiego Józefa Neurottera, 84-letniego starca, gdy chciał z kieszeni pewnego kupca wyciągnąć pugilares. Z powodu usiłowanej kradzieży, stanął w sobotę ów sędziwy złodziej przed kratkami sądowemi. Osiwiały w swym zawodzie Neurotter nie robił wcale nieprzyjemnego wrażenia na sędziach, wyglądał on jak zwykły, dobroduszny drobno-mieszczanin, nadzwyczaj dystyngowany. Z aktów sądowych dowiedziano się, że uprawia on swoje ulubione rzemiosło przeszło 50 lat. Specyalnością jego są kradzieże na dworcach kolejowych. Przeszło 10 ciężkich kar już odcierpiał. „Dorobiwszy się“ już znacznego majątku, wykonywał on swoje rzemiosło w salonach, w pierwszorzędnych kawiarniach, jako doskonały partner do taroka. Skazanym został obecnie na 6 miesięcy ciężkiego więzienia. Za okoliczność łagodzącą uznał sąd jego wiek podeszły. Wychodząc z sali sądowej, zawołał do agenta policyjnego, który go zawsze przytrzymywał na kradzieży: „Należałoby raz pana zastrzelić“.

Szabas na angielskim dworze. Z Londynu donoszą: Przyjęcie dworskie w Buckinghamskim pałacu, naznaczone na piątek przeniósł król na czwartek, a to z tego powodu, że 10 dam z grona zaproszonej arystokracyi angielskiej oświadczyło królowi listownie, że z powodu zapadającego szabasu na piątkowem przyjęciu nie będą mogły być obecne.

TELEGRAMY.

Muszą kłamać.

Berlin. Tutejsze dzienniki donoszą dziś rano, że zjazd cara z Wilhelmem, zapowiedziany oficyalnie na jutro w Swinemünde, odbędzie się wkrótce i gdzieindziej — a ogłoszenie urzędowe o jutrzejszym zjeździe miało tylko na celu zbić z tropu rewolucyonistów, planujących zamach na cara.

Morderca dzieci.

Berlin. Mordercy dzieci jeszcze niewykryto. Cała ta straszna afera zdaje się budzić w wielu indywiduach zbrodnicze popędy, bo policya jest zasypywaną doniesieniami o gwałceniach nieletnich dziewcząt, które są na porządku dziennym.

O autonomię Królestwa.

Petersburg. „Ruś“ donosi, że Październikowcy na pierwszym punkcie programu swego zjazdu stawiają sprawę powszechnego równouprawnienia narodowości, zamieszkujących państwo rosyjskie, a przedewszystkiem autonomię Królestwa Polskiego.

Z papierów nieboszczyka.

Petersburg. W papierach zmarłego prokuratora Synodu Pobiedonoscewa znaleziono dramat, osnuty na tle panowania cara Aleksandra I.

Ma gościa.

Berlin. Na 19. sierpnia zapowiedział swą wizytę w Berlinie król Syamu, który pragnie poznać cesarza Wilhelma i jego rodzinę.

Rajsuli grozi śmiercią.

Tanger. Poseł angielski otrzymał od znajdującego się w niewoli u Rajsulego Macleana list, w którym ten prosi, aby zaniechano dalszego pościgu, gdyż Rajsuli grozi mu śmiercią i groźbę tę gotów wykonać, jeźli wojska sułtana będą na nich następywać.

Ograniczenie pojedynków.

Wiedeń. Jedno z pism donosi, że minister wojny wydał do komend korpuśnych poufnych rozkaz, aby oficerom zezwalać na pojedynki tylko w tym razie, jeśli powodem jego staje się familijna sprawa delikatnej natury, jak uwiedzenie żony i córki. W innych wypadkach sprawa ma zawsze być oddaną sądowi wojskowemu do rozstrzygnięcia, którego obowiązkiem jest winnych surowo karać.

DARY ŻYCIA.

W piękny, słoneczny poranek stanęła przed pięcioma przyjaciółmi, dwudziestoletnimi młodzieńcami, czarodziejka z koszykiem w rękach i rzekła:

— Mam tu pięć darów życia, wybierzcie sobie po jednym, ale dobrze się zastanówcie zanim wybierzecie, bo — ostrzegam was — nie każdy z nich ma jednaką wartość.

Młodzieńcy pociągnęli losy, który z nich ma pierwej wybierać, a ten, na którego padł los zawołał wesoło:

— Wcale się nie ma nad czem zastanawiać. Wiem co najlepsze! — i chwycił z kosza *Miłość*.

Drugi z kolei chwycił również skwapliwie *Bogactwo*.

Trzeci, o oczach marzycielskich błyszczących jak gwiazdy, wybrał sobie *Sławę*.

Czwarty zastanowił się małą chwilę i z dwóch pozostałych darów wziął *Dobroć*.

Dla piątego zostało tylko *Ubóstwo*. Przyjaciele żartowali sobie z niego, zaś czarodziejka rzekła do nich: Za ćwierć wieku stawicie się wszyscy przedemną i opowiecie, czyście zadowoleni z wyboru? I znikła.

Po dwudziestupięciu latach stosownie do woli czarodziejki, stawili się przed nią i poczęli się sobie wzajemnie przypatrywać z ciekawością.

Szczególniej zaś z wielkiem zdumieniem oglądano zgrzybiałego starca, którego posługacze szpitalni wtoczyli na wózku. Twarz miał żółtą, zwiędłą, okrytą ropiącemi ranami, oczy zagasłe, a przytem pozbawiony był zupełnie władzy w nogach.

— Któż ty jesteś? — zapytano chórem.

— Jestem tym — wybełkotał paralityk — który wybrał *Miłość*. Pobiegłem z nią w świat szeroki i używałem do syta i do przesytu wszelkich rozkoszy, jakich ona dostarczała, a w których lekkomyślna młodość tak się lubuje. I oto co się w krótkim czasie ze mną stało. Zły dar życia wybrałem.

Towarzysze młodości odwrócili od niego oczy z niesmakiem, a czarodziejka podeszła ze smutkiem do drugiego równie nieszczęśliwie wyglądającego i spytała:

— A ty jaki dar życia wybrałeś?

— I ja źle wybrałem. Dar życia, który mi się wydał najponętniejszy, zgubił mnie. *Bogactwo* ułatwiło mi wszelkie nadużycia. Jadłem i piłem nad miarę, a nie zmuszony koniecznością do pracy, zgnuśniałem w lenistwie i oto teraz dręczą mnie różne choroby, wywołane obżarstwem, opilstwem i lenistwem. Rak toczy mi gardło, artretyzm rwie w nogach, męczą mnie kamienie wątrobiane i nerkowe i różne inne dolegliwości. W dodatku, jak i ten, który wybrał *Miłość*, nie miałem potomstwa i czuję straszny smutek, płynący z osamotnienia...

Wysunęła się przed czarodziejkę jakaś postać szczupła, o zżółkłej cerze, zawiścią pałających oczach i z goryczą poczęła mówić: „Imieniem mojem świat cały rozbrzmiewał, chwaliły mnie tysiące ust i zdawało mi się, żem szczęśliwy. Ale jakże krótko to trwało! Przyszła zawiść, za nią oszczerstwo i nienawiść, potem prześladowanie, a nakoniec litość, ze wszystkich najgorsza i najboleśniejsza".

A po tych słowach jego wszyscy poznali zaraz, że człowiekiem, który to mówił, był ten, co z darów życia wybrał *Sławę*.

Zasmucone oczy czarodziejki podniosły się na dwie pozostałe postacie i z ulgą wielką patrzyły na nie długo. Ci chyba muszą być zadowoleni z wybranych darów życia! Oczy jednego z nich patrzyły dokoła z wielkim spokojem, koło ust wił się łagodny uśmiech i głosem pewnym rzekł:

— Ja nie żałuję mojego wyboru. — Wprawdzie i ja niekiedy cierpiałem, doznawałem goryczy i zawodów, bo to są części składowe życia, ale na ogół byłem i jestem szczęśliwy. Kochali mnie wszyscy i dziś, gdy moi towarzysze, którzy wybrali *Miłość* i *Bogactwo*, skarżą się na osamotnienie, ja mam nieprzeliczone grono przyjaciół. Dała mi ich wybrana przezemnie: *Dobroć*.

— Śmialiście się ze mnie — rzekł ostatni — gdy mi z darów życia przypadło *Ubóstwo*, lecz pokazuje się, że ono było najlepszym darem życia. — Jestem zdrów i silny, a także zdrowe i silne jest moje potomstwo, jestem wesół, bo praca i spełnianie obowiązku dają mi wielkie zadowolenie. Nie chorowałem nigdy, gdyż *Ubóstwo* nie pozwalało mi dopuszczać się jakichkolwiek nadużyć, które właśnie są jedynem źródłem chorób.

A gdy tak mówił, patrzyli na niego trzej pierwsi ze skrytą zazdrością, bo rzeczywiście jego młodzieńcze siły, czerstwość i świeżość ciała, radość z życia, bijąca z jego czystego spojrzenia, były zazdrości godne.

A czarodziejka uśmiechnęła się błogo, szczęśliwa, że wśród darów życia, które ona ma do rozdania, znajdują się takie, które mogą ludziom zapewnić szczęście.

Ruch pociągów kolejowych

obowiązujący z dniem 1. maja 1907.

DO LWOWA przychodzą z	rano	przed południ.	po południ.	wiecz.	noc
Krakowa	5·50	8·55*	1·30*	5·25	9·50
Krakowa	7·25	9·45	—	8·40*	2·31*
Rzeszowa	—	—	1·10	—	—
Podwołoczysk	7·20	12·00	2·16*	5·40	10·30
Czerniowiec	8·05	—	2·25*	—	9·00
Czerniowiec	—	—	3·35	—	12·20*
Stanisławowa	5·55	—	—	—	—
Kołomyi	—	10·05	—	—	—
Stryja	7·29	11·50	3·51	—	10·50
Pustomyt	7·29	11·50	3·51	9·40F	10·50
Sambora	8·00	10·30	1·55	—	9·20
Lubienia	8·00	10·30	1·55	9·20	11·50†
Rawy ruskiej	7·10	12·40	4·50	—	—
Janowa	8·22	1·15	5·00	9·25	10·10†
Brzuchowic	7·10	12·40	1·46†	4·50	8·20
Brzuchowic	10·05†	—	3·25	5·30	9·35§
Zimnej wody	5·50	7·25	1·10	5·25	9·50

ZE LWOWA odchodzą do	rano	p. poł.	po poł.	wiecz.	noc
Krakowa	3·45	8·25*	2·45*	7·05*	11·00
Krakowa	—	8·40	6·15	7·20	12·45*
Rzeszowa	—	—	4·05	—	—
Podwołoczysk	6·20	10·45	2·17*	7·00	11·15
Czerniowiec	6·10	9·20	1·55*	—	10·40
Czerniowiec	—	—	—	—	2·51*
Stanisławowa	—	—	—	5·50	—
Kołomyi	—	—	2·35	—	—
Stryja	7·30	—	2·26	6·25	11·30
Pustomyt	7·30	10·45F	2·26	6·25	10·30
Sambora	6·00	9·05	4·30	—	10·51
Lubienia	6·00	9·05	2·10†	4·30	10·51
Rawy ruskiej	6·12	11·05	—	7·10	11·35†
Janowa	6·58	9·15	1·35†	3·35	6·30
Brzuchowic	6·12	11·05	2·28	5·45	8·34§
Brzuchowic	9·05†	12·41†	3·45	7·10	11·35†
Zimnej wody	3·45	8·40	4·05	7·20	11·00

Uwaga. Pociągi pospieszne są oznaczone *. — Kursujące tylko w niedzielę i święta † — w niedzielę i święta od 26/9 do 15/9 literą F — w niedzielę i święta, a od 1/6 do 31/8 codzień §

„GONIEC POLSKI"

LWÓW, ULICA KRZYWA L. 6.

Niniejszem zamawiam pismo na miesiąc ____________

kwartał __________, *rok* __________ *i przesyłam równocześnie prenumeratę*

w kwocie __________ *kor.* __________ *hal. przekazem pocztowym.*

1 korona miesięcznie

Adres: Imię i nazwisko ____________

____________ *miejsce zamieszkania, ulica i Nr.*

____

(Należy pisać dokładnie i wyraźnie. Wyciąć i nalepić na korespondentkę i posłać do redakcyi).

1 korona miesięcznie

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: STANISŁAW BRANDOWSKI. WYDAWCA: STANISŁAW TOKARSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI NIEJAWNEJ.
Z DRUKARNI „GOŃCA POLSKIEGO", TOKARSKI & BRANDOWSKI, POD ZARZĄDEM KAROLA DOROSZYŃSKIEGO.